Rok XXIII. Listopad i Grudzień 1899. Nr. 11. i 12.



Wychodzi we Lwowie z końcem każdego miesiąca.
Wkładka roczna z prenumeratą wynosi 1 zł. 20 ct.
Dla nauczycieli Tow. i uczniów tylko 70 cent. przesyłką 82 ct.

MIESIĘCZNIK
galicyjskiego
TOWARZYSTWA OCHRONY ZWIERZĄT.

Administracya i ekspedycya we Lwowie pl. Bernardyński 7. dokąd wszystki pisma — zaś wkładki i prenumeraty adresować należy: Adolf Mussil ul. Kar. Ludwika 7

Organ galicyjskiego i krakowskiego Towarzystwa ochrony zwierząt.

Redaktor: Dr. Józef Limbach.

BABIE LATO.

Obrazek przyrodniczy

przez

Prof. Bronisława Gustowicza.

Koniec września i początek października tegorocznego zajaśniał kilku pogodnymi, ciepłymi, słonecznymi dniami, które przypomniały nam dawną sławną „jesień polską“, odznaczającą się piękną i suchą pogodą, przeciągającą się niekiedy aż do połowy listopada. Za taką jesienią wzdychaliśmy i zatęskniliśmy wszyscy, cośmy nie użyli lata wśród tegorocznego wywczasu wakacyjnego, boć lato było zimne, wilgotne i dżdżyste, tak że mogłeś widzieć tu i owdzie kuracyuszy i letników, czyli tak zwanych „zapowietrzonych“, chodzących w kożuchach i futrach. Z radością tedy z końcem września z. r. powitaliśmy owe piękne dni ciepłe z uroczym błękitem niebios. Był to prawdziwy maik wrześniowy. To też ogrody publiczne, parki i obszerne błonia nasze roiły się od publiczności i żwawej młodzieży naszej, mustrującej się i ćwiczącej na świeżem powietrzu swe siły fizyczne w myśl wznio-

słej zasady: „*in corpore sano mens sana!*“ Wszędzie też mogłeś słyszeć kochany czytelniku: „Babie late! Babie lato!“

Tak jest, mieliśmy babie lato, które szybko jak sen przeminęło, i znowu rok cały musimy czekać, abyśmy je mogli powitać. Dlaczego te piękne dni jesienne zowią babiem latem? Czy dla urągowiska owej drugiej połowy rodzaju ludzkiego, tak zwanej płci pięknej, która postąpiwszy nieco w podeszły wiek, osiadła na koszu i pozostała osamotniotą, jak owe urocze dni jesienne, odosobnione wśród przeważnie dżdżystej i dokuczliwej jesieni?

Cóż to jest to „babie lato?“ — Spyta niejeden ciekawie. Jest to — powiem ci poprostu — piękne zjawisko przyrody, pojawiające się corocznie z końcem września lub z początkiem października, znane nawet ludowi naszemu, który ubrał je w przysłowia. I tak w Krakowskiem, według zdania ludu, nastaje ono zwykle o świętej Brygidzie (8. października): stąd też przysłowie: „O świętej Brygidzie babie lato idzie“, a w okolicy nadrabskiej: „Po świętej Brygidzie babie lato przyjdzie“. Na Ślązku naszym zaś powiada lud: „Na świętego Emila babskie lato się przesila“, t. j. 11. października. We wschodniej części kraju naszego, szczególnie nad Zbruczem, nastaje podług mniemania ludu ruskiego babie lato na świętego Szymona (obrz rusk.). t. j. 13. września w tak zwany „Semen deń“; powiada bowiem lud: „Semen deń babskie lito nawodyt“, tudzież: Chwałyły sia baby babiem litom na Semen deń, a toho baby ne wydały, szczo na dwori wereseń“.

Zwykłem znamieniem tej pory jest przędza pajęcza, unosząca się w powietrzu. Że tak jeśt, przekona cię o tem, kochany czytelniku, mała przechadzka poza mury miast w szczere pole. Jeżeli więc w pogodny i słoneczny dzień jesienny wyjdziesz w pole, na którem przed kilku tygodniami stały jeszcze kopy zboża a obecnie widzisz tylko sterczące rżyska i ścierniska, przedstawi się oczom twoim ciekawy widok. Całe bowiem pole wygląda jakby delikatną, srebrzystą osłoną pokryte, której cieniuchne włókna rozciągają się od źdźbła do źdźbła, od jednej trawki do drugiej, od jednej łodyżki do drugiej, a w promieniach słonecznych odbijają barwami tęczowemi, gdy je jeszcze krople rosy zraszają. A gdy słoneczko podniesie się cokolwiek wyżej, znika ta delikatna, muszlinowa osłona z przed twoich oczu, a długie, białe, jedwabiste, jak brylanty błyszczące w słońcu niteczki,

zmiecione lekkim podmuchem wiatru, podnoszą się w górę, a następnie unoszą w powietrzu, zawisają na drzewach, krzewach i innych wyniosłych przedmiotach, oplątając równocześnie przechodniów, a niekiedy opadając w postaci białych płatków ku ziemi. Otóż ta delikatna, srebrzysta tkanka pokrywająca pola i łąki, krzewiny i zarośla, jakby czarodziejskim muślinem, podczas ciepłych, słonecznych dni wrześniowych i październikowych, zowie się „babiem latem“, także „babskiem latem“, jakoteż „latem świętomarcińskiem“, jak podaje dykcyonarz Troca.

O powstaniu tej przędzy i siatek na ziemi rozpostartych i w powietrzu się unoszących, rozmaite dawniej krążyły domysły, czasami bardzo niedorzeczne. Że ta w powietrzu unosząca się przędza niczem innem nie jest, jak tylko pajęczyną, nie ulega żadnej wątpliwości. Sławny przyrodnik niemiecki Jan Fryderyk Blumenbach (1752—1840), profesor nauk przyrodniczych w Getyndze, przypisywał pająkowi tylko częściowo owe siatki i włókna latające w powietrzu, wychodząc z tego punktu widzenia, że ilość tej przędzy jest zbyt wielką, zbyt szybko pojawia się i znika, ażeby miała być przez drobne pająki usnutą. Sądził tedy, że włókna tej lotnej przędzy powstają po większej części z rosy i wyziewów roślin, z których powiew wiatru je snuje. To zapatrywanie utrzymało się bardzo długo, bo sięgało drugiej połowy naszego wieku. Wszelako ten sposób tłómaczenia początku babiego lata nie wytrzymuje krytyki, bo chociaż jest nieraz niezaprzeczoną prawdą, że pająki z cieczy przędzę swą wytwarzają zapomocą organów bardzo sztucznych, t. j. brodawek przędnych czyli kądzielników, to jasną jest rzeczą, że wiatr z rosy podobnych włókien nie uprzędzie. Również mylne było zapatrywanie dawniejszych przyrodników, że pająki nie są zdolne wysnuć wiele przędzy; owszem dziś wiadomo, że pająki mogą usnuć bardzo wiele przędzy, z której rozmaitymi czasy — wprawdzie bezskutecznie — próbowano nawet jedwab wyrabiać. Byli i tacy, co twierdzili, że włókna tej lotnej przędzy snuje jakiś nieznany gatunek chrząszczyka.

W uściech ludu różnej narodowości krąży wiele a wiele o tej przędzy legend. Przedchrześcijańska wiara ludowa łączyła to zjawisko z bóstwami, którym oddawano cześć, chrześcijańska zaś z Bogiem i najświętszą Panną Maryą. Wedle legendy naszego ludu ma ta sieć być przędzą z kołowrótka Matki Boskiej i świętych niewiast, rzuconą na ziemię, ażeby przypomnieć go-

*

sposiom wiejskim, że czas roboty około przędziwa nadszedł, że że należy pamiętać o okryciu biednych, opuszczonych sierotek na ziemi. Na Rusi zaś opowiada lud następującą legendę:

Pobożna dziewczyna prosiła Matkę Boską, iżby sprawić raczyła, aby koszula, uszyta z tkaniny przez nią zrobionej, zabezpieczyła tego od rany śmiertelnej, który ją nosić będzie. W ten sposób chciała ona ochronić przed śmiercią jedynego swego ukochanego brata, który wybierał się na wojnę. Otóż Matka Boska ulitowała się i wysłuchała modlitwy dziewczyny. Ale tymczasem dziewczyna, pokochawszy jakiegoś hultaja, jemu, a nie bratu dała tę koszulę. Gdy tenże się chełpił tą miłością i przez brata dziewczyny na pojedynek był wyzwany, skończyło się na tem, że niegodziwiec ocalal, a brat wierny poległ. I od owego czasu siedzi ta grzesznica przy kądzieli i przędzie nieustanie, ale co uprzędzie, wiatr rozrywa jej nić i roznosi po świecie.

Na pojawienie się tej lotnej przędzy lud wiejski nie bardzo przychylnem patrzy się okiem, gdyż zwykle z tem babiem latem następuje długa i trwała posucha, z czego rolnicy nie są zadowoleni. Dlatego też wieśniak podolski powiada: „Babie lito nenastno, oseń suchaja“, albotež: „Mnoho tenetnyka na babie lito, ku jasnoji oseny i chołodnoji zymi nawodyt“. Indziej, n. p. na Ślązku, korzystniej o niem lud się wyraża, bo powiada:

Babskie lato czasem się opłaci,
Lecz od Judy już są grudy i ciepło się traci.

Tyle ludowego o babiem lecie. Przejdźmyż teraz do rzeczy naukowej. Według doświadczeń, i badań nowszych przyrodników babie lato, czyli owe jesienne nitki pajęczyny są wytworami mnóstwa pająków i pajączków, mianowicie młodych, świeżo w lecie i na początkuj esieni wylęgłych, które wydzielają wiele pajęczyny luźnie, bez splatania jej w siateczki. Do takich twórców babiego lata należą różne gatunki rodzaju pląłków (Erigone), boczeni (Xysticus), czelustków (Pachygnatha), oraz różnych przedstawicieli rodziny krzeczków (Lycosidae), i bagnik (Lycosa paludosa), — następnie rodziny namiastków (Thomisidae), szczególnie zaś z rodziny omatników (Theridium). — Snują one liczne i długie białe włókna, zapomocą których odbywają podróże napowietrzne.

Trzeba wiedzieć, że samica pająka ma staranną pieczę o swoje potomstwo, dopóki samo nie zdoła szukać sobie żeru.

Dlatego też osłania samica jajka swe pajęczyną, jakby woreczkiem, który umieszcza w bezpiecznej kryjówce obfitującej w drobne owady, służące drobnym pająączkom za pokarm aż do czasu pierwszej wylinki, po której same już snują sieci. Gdy atoli nastąpi jesień chłodna, a życie owadzie zamrze w nizinach i na łąkach, nad brzegami wód i rzek, wtedy młode pająączki, będąc już dorosłe, opuszczają miejsca rodzinne i puszczają się w podróż dla wyszukania okolic suchych i wyżej położonych, a dogodnych dla leż zimowych. A właśnie do tych wędrówek służą im te włókna, które snują, tworzące dla nich jakby rodzaj balonu lub statku powietrznego. Babie lato tedy przedstawia nam drogi, gościńce i ścieżki, któremi pająki gromadnie wędrują w świat, rozpraszając się po okolicy, ale to tylko w ciepłe i słoneczne dni jesienne, bo żaden z nich nie przędzie, gdy jest słotno i zimno. Jeżeli lato poprzedzające jesień, sprzyjało rozwojowi tych pająków i pająączków, to także w porze jesiennej, w której bądź co bądź znajdzie się kilka cieptych i słonecznych dni, występuje babie lato w całej pełni; jeżeli zaś lato było zimne i dżdżyste, to także dla powstrzymanego rozwoju pająków babie lato jest mniej okazałe, jak to mieliśmy obecnej jesieni.

Gdyby stworzonka te miały skrzydła owadów latających, nie potrzebowałyby używać przędzy swej jako środka komunikacyjnego. Pieszo zaś, że tak powiem, podróży odbywać nie mogą; — szłoby im to zresztą bardzo niesporo i nieskładnie, bo mimo największego wysilenia nie zdołałyby ujść dziennie nad kilkaset metrów, a najmniejsza struga wodna tworzyłaby dla nich zaporę do nieprzebycia. Dlatego też pomagają sobie w sposób bardzo przemyślny, budując ze swej przędzy statek napowietrzny.

Jakżeż to robią? — Otóż w porze nadejścia babiego lata spostrzeżesz łacno przy bacznej i cierpliwej uwadze, że wszelkie cokolwiek ponad ziemią sterczące przedmioty, słupy hekto- i kilometrowe przy gościńcach, pale, paliki i koły w płotach końce gałązek drzew i krzewów, roją się od mnóstwa przeróżnych pająków i pająączków. Jeżeli one już instyktowo czują, że nadszedł czas wędrówki, oczekują tedy pierwszego pięknego, pogodnego i słonecznego dnia, aby puścić się w napowietrzną podróż. W tym celu wyszukują sobie wynioślejsze stanowiska, jak n. p. wysokie źdźbło lub palik, wyłażą na jego wierzchołek, wystawiają odwłok wysoko i w górę i jakby stały na głowie, wy-

strzykują z kądzielników, na końcu odwłoku się znajdujących, po jednej lub po kilka nitek, któremi lekki powiew wiatru porusza na wsze strony, jakby chorągiewką. Jeżeli nitki te w powiewie wiatru trzymają się razem, a pająk czuje, że go unieść zdołają, puszcza się swobodnie i żegluje w powietrzu, najczęściej grzbietem na dół zwrócony.

Przyrodnik Withe opowiada, że gdy raz podczas pogodnej jesieni czytał książkę na balkonie domu swego, pojawił się nagle pajączek na jego książce, a pobiegłszy szybko ku narożnikowi kartki, wysnuł z kądzielnika nitkę pajęczyny, na której puścił się w podróż napowietrzną. Było to dziełem kilku sekund.

W pierwszych dniach października w roku 1877. wybrałem się z rana z uczniami na wycieczkę i przechodziłem przez wzgórze Bóżnicę, wznoszące się na południe i tuż nad drogą do Olszanicy (powiat krakowski), koło pola, na którem ludzie wybierali ziemniaki. Skoro słońce jaśniej zaświeciło i mgła opadła, spostrzegliśmy na worku ziemniaków cały rój pająków, które, nie wiem skąd, zgromadzały się coraz liczniej. Musiało to być towarzystwo dobrane i nie obce sobie, bo szczególniejszą między temi zwierzątkami dostrzegłem ruchliwość i wesołość. Biegały w prawo i w lewo, pozdrawiały się długiemi nóżkami, a inne znowu główki pospuszczawszy, stały przez dosyć długi czas spokojnie, jakby w zamyśleniu. Naraz spostrzegliśmy, że pewne części tego wesołego towarzystwa, gdzieś się wyniosła. Oglądając się w prawo i w lewo, ujrzeliśmy nareszcie płynący w powietrzu, jakby statek, uprzędzony z pajęczyny, na której znajdowało się kilkanaście pajączków. Gdy nam ta napowietrzna lódź zniknęła z oczu, zaczęliśmy tem pilniej uważać na resztę pająków na worku i przekonaliśmy się ku naszemu zdziwieniu, że te z nich, które spokojnie siedziały, wychylały odwłok ku górze i wypuszczały z siebie pajęczynę licznemi nitkami na wiatr, który delikatnie powiewając, nici te z sobą wiązał. Gdy siatka była z grubsza usnuta, wchodziły na nią niektóre pająki i zaczęły ją w powietrzu dzierżgać. Tak powstała w naszych oczach napowietrzna tratwa, na której reszta ciekawego towarzystwa pajęczego w daleki odpłynęła świat. Podobne spostrzeżenia robiłem kilkakrotnie później, a moi uczniowie powzięli wtedy przekonanie, że to, co nazywamy babiem latem, nie jest niczem innem, jak balonem pająków.

Jeżeli wśród żeglugi napowietrznej wiązka pajęczyny zaczepi się o jaki przedmiot, wtedy pająk, jak gdyby wyrzucony na brzeg lądu, chwyta się natychmiast tegoż przedmiotu, lub gdy ma w rezerwie drugi i trzeci pęk włókien, chwyta się tegoż i żegluje dalej, a w najgorszym razie może się postarać każdej chwili o nowy. W ten sposób żegluje bezpiecznie uwieszony pod balonami swoimi na kształt łódki.

Niekiedy podróż bywa daleka. Darwin spostrzegł raz, że w odległości 60 mil morskich (15 mil geograficznych) od stałego lądu, spuściły się nagle na okręt tysiące drobnych czerwonawych pająjczków, każdy na swoich włóknach unoszony.

Pajączki te żeglują nietylko tuż nad powierzchnią ziemi, ale wznoszą się także do znaczniejszych wysokości. Dowodzi tego spostrzeżenie angielskiego przyrodnika Marcina Listera. który niejednokrotnie obserwował ich żeglugę wysoko ponad sobą z najwyższego stanowiska wieży katedralnego kościoła św. Piotra w York (w Anglii w hrabstwie Yorkshire), wysokiej na 65 m.

Aby zaś ich żegluga nie trwała zadługo, mają te pajączki sposób nader prosty, aby ją przerwać i spuścić się na ziemię. W tym celu spina się pajączek po swej nitce i nóżkami splata i gmatwa w biały płateczek, na którym jak aeronauta z swoim parasolem ochronnym spuszcza się swobodnie na ziemię. Niekiedy można widzieć w znacznej obfitości spadające z powietrza białe płatki pajęczyny i prawie na każdym z nich ujrzysz pajączki.

Powiedzieliśmy poprzednio, że dla pająka, żeglującego w powietrzu, jest słońce nieodzownie potrzebne; bez niego nie może się ów statek pajęczyny wzbić w powietrze. Słońce ogrzawszy ziemię powoduje wznoszenie się ciepłego prądu powietrza w górę, a prąd ten jest tem silniejszy, im większa jest różnica pomiędzy oziębionem a ogrzanem powietrzem. Otóż te prądy powietrzne pionowo się wznoszące pędzą statek pajęczy do góry, a panujący powiew wiatru w kierunku poziomym. Przyrodnik Juliusz Stinde (ur. 1841 w Kirch-Nichel we wschodnim Holsztynie) w swoich „*Naturwissenschaftliche Plaudereien*“ (Hamburg 1873) powiada, że wiązki włókien pajęczych, znajdujące się w chłodnem powietrzu, ogrzewają się pod wpływem promieni słonecznych, a zarazem i cząstki powietrza uczepione do nich, które dążąc prądem stałym ku górze, podnoszą te włókna razem ze sobą. Ogrzane cząstki powietrza wokoło tkanki tworzą

w chłodnem powietrzu prawdziwy balon i to na zasadzie Montgolfiera, który się wznosi, gdyż ogrzane w nim powietrze jest lżejsze, niż taka sama objętość powietrza chłodnego, znajdującego się zewnątrz niego. Montgolfier wynalazł balon powietrzny przed stu laty (1781), ale żegluga powietrzna zapomocą ogrzanego powietrza jest o wiele starszą, ponieważ już w bursztynie spotykamy pająki z wykształconymi kądzielnikami. Gdy przed wiekami rosły sosny bursztynowe (Pinites succinifer), mogły wtedy pająki tak samo prząść swą pajęczynę, jak dzisiejsze ich krewniaki, a że wówczas były także dni ciepłe i światło słoneczne, więc trudno przypuścić, że pająki ówczesne nie odbywały wędrówek. I owszem, żeglowały one w ówczas tak samo odważnie w powietrzu jak dziś, i już przed tysiącami lat były sprytnymi aeronautami.

Że taki statek czyli balon pajęczy wznosi nie się w cieniu, można się łatwo przekonać, jeżeli włókno pajęcze schwytamy zapomocą laski i przeniesiemy w miejsce zacienione. Włokno to wolno puszczone, spada natychmiast na ziemię, a jeżeli je przeniesiemy w miejsce słoneczne i ciepłe, wznosi się do góry. Gdy zaś wieczorem promienie słoneczne stracą swą siłę ogrzewającą, wtedy pająk przerywa swą żeglugę. Spuściwszy się na ziemię, wystrzykuje długą nitkę, która gdziekolwiek się przyczepia. Dlatego też nazajutrz rano można widzieć dokładnie te włókna, ponieważ pokrywa je gęsta rosa, w której perełkach załamuje się i rozczepia światło słoneczne na barwy tęczowe. Gdy para się ulotni, znikają napozór włókna, bo są są tak cieniuchne, że ich trudno dostrzedz; wszelako w rzeczywistości trzymają się ścierni i łodyg, póki ich wiatr nie oderwie i nie uprowadzi, a wtedy pająki wędrują dalej, aż znajdą miejsce odpowiednie na zimowe leże. Dodać winniśmy tu jeszcze, że gdy na wiosnę pająki te opuszczają swe leże zimowe, występuje to samo zjawisko, ale już na bardzo małą skalę; więc w oczy nie tak łatwo wpada. Niemcy nazwali to zjawisko „Mädchensommer“, t j. latem dziewiczem.

Babie lato jest zjawiskiem znanem w całej Europie; występuje ono także w innych cęściach ziemi; obserwował je przyrodnik J a n R u d o l f R e n g g e r (1794—1892) w Paragwaju w Ameryce południowej.

W niektórych okolicach kraju naszego czas babiego lata jest uprzywilejowanym do rozmaitych zabaw, jakie sobie płeć

niewieścia zwykle stroi o tej porze obok pracy przy tak zwanej „cierlicy“. O tych zabawach i pieśniach śpiewanych przy nich wspomina B. Broniewski w czasopiśmie rosyjskiem: *Moskiewskij wiestnik* z r. 1828. Z polskich rzeczy na uwagę zasługuje broszurka Eugeniusza Brezy (1802—1860), znanego pod pseudonimem Pauliny Dziubińskiej, wydana w Poznaniu w roku 1841 pod tytułem: „Babie lato panny Dziubińskiej, nie Babom poświęcone“.

Niemcy zowią to zjawisko: „fliegender Sommer, Flugsommer, Sommerflug, Sommerfäden, Graswebe, Herbstfäden, Marienfäden, Mariengarn, Frauensommer, Altenweibersommer“; u Francuzów przychodzi pad nazwą: „les fils de la vierge“; u Włochów: „filamenti della Madonna“; u Anglików: „gossamer“; u Szwedów: „dvärgsnät“ t j. przędza karłów.

Z życia rybaków *).

Niebezpieczeństwo, połączone z połowem wielorybów, mało jest znane stałym mieszkańcom lądu lub jeżdżącym na okrętach pasażerskich. Ten rodzaj polowania dostarcza bezwątpienia więcej emocyi, niżeli zwyczajne polowanie na grubego zwierza. Jeden z poławiaczy powiada, że w jakiś czas po wypłynięciu na morze, został skoro świt zbudzony bieganiną na pokładzie i okrzykami. Z góry ozwały się nawoływania do pośpiechu, ponieważ właśnie na widoku pojawiły się olbrotowce i nie miano czasu do stracenia. Niebawem wszystkie ręce zabrały sie do pracy, spuszczono łodzie i odbito przy pomocy wioseł od okrętu i rozpięto żagle. Bullen (nazwisko poławiacza) znajdował się na łodzi pierwszego oficera p. Connt'a. Na przodzie tej łodzi, jakoteż i innych stali harpunowcy z prawą ręką na pierwszym harpunic, spoczywającym na drewnianych widłach.

Nagle od kierownika wyszedł rozkaz zwinięcia żagli, wskutek czego łódź stanęła, chwiejąc się łagodnie na morskiej fali. To samo zupełnie uczyniły i inne łodzie, a to wszystko wskutek sygnału, otrzymanego od kapitana Hokum, który zawieszony w bocianiem gnieździe kierował całą akcyą. Bullen nie mógł

*) Słowo p.

zrozumieć manewru, który mu atoli p. Count natychmiast wytłumaczył. Wieloryby zniknęły z powierzchni wody, zanurzywszy sie w głębinę. Gdyby łodzie nie zatrzymały się na miejscu, to mogłoby się znałeść nad olbrotowcami, które wynosząc się znowu na powierzchnię, powyrzucałyby poławiaczy do wody, gotując im w ten sposób śmierć niechybną.

Wkrótce potwory pojawiły się nad wodą, to też harpuny zaświszczały w powietrzu. Łódź, na której znajdował się Bullen, przesunęła się koło czegoś, co zrobiło wrażenie pływającej masy kauczuku, poczem rozwinięto znowu żagiel dla skorzystania z wiatru i dla oddalenia się od olbrotowca, który bił olbrzymim ogonem w wodę, przewalał się z bóku na bok, wytwarzając w okół siebie masę piany. Następnym aktem, nie łatwym do spełnienia, było wyjęcie masztu i położenie go w tyle łodzi, oraz chwycenie się wioseł. Czynność ta zajęła poławiaczy tak, że nie mieli głowy zwracać uwagę na grożące im w tej chwili niebezpieczeństwo. Kiedy wiosła zaczęły pracować, a oficer zmienił miejsce z harpunowcem, nieprzyjaciel zanurzył się pod wodę, dziwiąc się niezawodnie temu, co mu się przytrafiło. Zgodnie z opisami, które Bullen czytał o polowaniu na wieloryby w wieku chłopięcym, oczekiwał on, że lina odwijająca się szybko z drewnianego słupka powoduje chmurę dymu, a nawet wybuchy płomienia; to też kiedy lina zaczęła się odkręcać ze znaczną szybkością, Bullen zapytał z naiwną bojaźnią, czy może polać nieco wody. — Na co? — spytał harpunowiec. Nie wiedząc po co, a nie chcąc przytaczać dziecięcych autorytetów, Bullen zamilkł i czekał, co będzie dalej. Niebawem spostrzegł z przerażeniem, że nos łodzi zanurza się w wodę, pomimo, że wszyscy na rozkaz oficera rzucili się w tył.

Lina wydawała niemal dźwięk, kręcąc się w okół słupka i wzbudzając podziw swoją wytrzymałością. Taki stan rzeczy trwał przez piętnaście minut, nagle łódź, w której znajdował się Bullen, wróciła z szarpnięciem do normalnej pozycyi, poczem oficer wydał rozkaz ciągnięcia liny, która przechodząc z ręki do ręki, układała się na tyle łodzi w bezładnych splotach. Tymczasem oficer wpatrywał się w wodę, czekając na chwilę, w której olbrotowiec znowu miał się pojawić. Gdy to jednak nastąpiło, okazało się, że wieloryb znalazł się w dość znacznej odległości i pozornie spokojny, jak jagnię. I gdyby pan Count był człowiekiem rozsądnym, albo mniej ambitnym, zada-

nie poławiaczy byłoby względnie łatwe; ale ponieważ opanowała nim chciwość, przeto wpędził wszystkich w bardzo kłopotliwe położenie. Gdy łódź zbliżała się do wiełoryba tak, aby go módz dosięgnąć lancą, a oficer stał jeno z bronią w ręce, czekając stosownej chwili, ogromny wieloryb pokazał się po prawej stronie tak blisko, że go dzidą dosięgnąć było można. Widok olbrotowca nie robiącego sobie nic z bliskości wroga, wyprowadził oficera z równowagi, Podniósł w górę lancę i cisnął ją w zwierzę, w którego szerokim boku ugrzązła po sam koniec, jak nóż w maśle.

Wieloryb zniknął jak błyskawica, ale nim był się czas opamiętać, powstał pod łodzią straszny trzask, a oficer wyleciał w powietrze jak bomba z moździerza. Spadł w pozycyi siedzącej na przecznicę masztową, a kiedy wreszcie usunął się w dół, cała łódź rozpadła się jak zbutwiały parasol. Harpunowiec przeciął spokojnie linę i przerwał w ten sposób wszelki związek miedzy łodzią, a owym drugim wielorybem, podczas gdy załoga według instrukcyi przeciągnęła wiosła w poprzek łodzi, przymocowując je powrozami do boków.

Ta prosta operacya nic trwała dłużej nad minutę, ale nim została ukończona, wszyscy znaleźli się po szyję w wodzie. Jakkolwiek bądź ludzie tkwili zawsze w łodzi, a więc niebezpieczeństwo utonięcia było mniejsze, niż gdyby i ta słaba podpora z pod rąk mi się usunęła, zauważywszy atoli, że łódź zamieniła się w bezładną masę desek, położenie przykre; mógł je oczywiście wyzyskać wieloryb w celu zemsty; on atoli wolał zniknąć coprędzej i czuć się całkiem bezpiecznym. Choćby zależdze, jak dotąd, żadne poważne nie groziło niebezpieczeństwo, to jednak sytuacya była dość niemiła, gdyż każda najmniejsza nawet fala przelewała się przez głowy, czasami nawet uniemożliwiając oddechanie. Pomimo, że wyprawa znajdowała się właśnie w sferze tropikalnej, ci, co byli zanurzeni w wodzie, zaczęli szczekać zębami. Wkrótce oczywiście nadpłynął kapitan z okrętem i biedaków z wody na pokład wy lobył. Tak więc przez nieopatrznośc oficera wyprawa i szkodę poniosła i olbrotowca nie zdobyła.

W. Sz.

Mikołaj Ryborski.

Kot domowy.

(Felis domestica).

(Dokończenie).

Zmyślność.

Koty nie mają tyle rozumu, co psy, konie i słonie, dlatego nie można ich do licznych sztuk układać. Jednak stwierdzono doświadczeniem, że między tymi zwierzętami są pojętne i roztropne.

Na moich kotach przekonałem się, że im nie brak rozumu. Przed kilku laty zrobił się Mimci na głowie guz wielkości orzecha włoskiego. Kotka się rozchorowała, miała gorączkę. Do pokoju nie przychodziła, tylko leżała na strychu w stajni. Na moje zawołanie wyłaziła okienkiem w dachu i żałośnie ale cicho miaucząc do mnie schodziła, jakby prosiła o ratunek Postanowiłem ratować przychylne zwierzę. Złożywszy szmatkę w czworo, zmaczałem w zimnej wodzie, przyłożyłem na guz kawałkiem chustki przewiązałem.

Kotka dała sobie głowę owiązać i śmiesznie jak babuleńka wyglądając, poszła znowu na stajnię.

Przez kilka dni zmieniałem okłady, aż guz pęknął. Wtedy materyę wygniotłem a ranę wymyłem wodą. Dalsze okłady materyę z rany odciągały i oczyszczając goiły.

Kotka wyzdrowiała; żyje do tego czasu i różnymi przymileniami daje mi dowody wdzięczności. Okazała także wiele rozumu, że z owiązaną głową kilka dni przebyła, bo koty zwykle nie cierpią, aby im głowę owijano.

Następujący wypadek świadczy także o rozumie Mimci. Gdy się na stajni okociła, przybiegła do pokoju i miaucząc żałośnie pokazywała na drzwi, to znowu się wracała, jakby wołała, aby pójść za nią.

Żona moja poszła za kotką do stajni i zobaczyła w sianie troje kociąt. Jedno miało przegryzione gardło, a dwoje żyło. Widać kocur zagryzł jedno, więc kotka nie czując bezpieczeństwa dla reszty, przybiegła prosić o pomoc. Żona wzięła kocięta do pokoju, z których jedno na d ugi dzień żyć przestało, a pozostałe było bardzo osłabione.

Domyślilem się, że kotka mało ma pokarmu, więc moja żona zaczęła łyżeczką wlewać mleko (krowie) kocięciu do pyszczka. Przyzwyczaiło się do karmienia i samo pyszczek otwierało, gdy żona zbliżała łyżeczkę z mlekiem. Wyrosło w pokoju, było nadzwyczaj wesołe i do mej rodziny przywiązane.

Nazwałem je Musią, a kocie swe imię rozumiało, bo na zawołanie „Musia“ natychmiast przybiegało; przymilało się i po ubraniu na ramię wybiegało. Na ramieniu marmocąc, ocierała się Musia pieszczotliwie o głowę i po twarzy lizała.

Mimcia od tego czasu nie koci się na stajni, tylko w pokoju. Na pół dnia przed tem biega ciągle za mną miaucząc i dobywa się do mojej szafy, Domyślając się, czego kotka żąda kładę do szafy kawałek starego sukna z podłogi jako podściółkę. Uszczęśliwiona bezpiecznym kątkiem, wychowuje tam swe dzieci.

Przy tej sposobności nadmieniam, że błędne jest przypuszczenie niektórych ludzi, jakoby kot swej nazwy nie rozumiał.

Nietylko każdy z moich kotów na zawołanie po imieniu przybiega natychmiast, ale widziałem także u Dra Limbacha dwa koty: Munię i Fircyka, które dobrze znają swoje nazwiska. Przytem są pojętne i nauczyły się sztuczek. Umią prosić, stać na dwóch łapkach i przez rękę przeskakiwać.

Mamy liczne opisy o zmyślności kotów u różnych narodów.

a) Przyrodnik niemiecki prof. Dr. *Giebel* miał kocura, który mimo dwurazowej zmiany mieszkania nie opuścił swego pana.

Chadzał z kucharką na targ jak pies. Umiał podawać łapkę, a łajany lub gdy ostro do niego przemówiono, kiwał obiema przedniemi łapkami tak, jak to pieski wyuczone czynić zwykły, gdy o co proszą.

Ile razy pliszka biała uszła na dziedziniec, przynosił ją panu bez żadnego uszkodzenia. Zdaje się, że kara skutkowała, jaką kilka razy otrzymał za chwytanie ptaszków.

W maju wyłaził na drzewa w ogrodzie i zjadał chrabąszcze.

Inny kot przyniósł swemu panu raszkę, która przed kilku dniami zginęła.

b) Jedna z moich lokatorek opowiadała, że przed 20 laty mieszkała w Przemyślu i widziała kota, który wiele rozumu okazywał. Był on własnością pewnego szewca. Szewc wyszedł raz do miasta za sprawunkami. Gdy jego żona uśpiła dziecko poszła także na kupno.

Po chwili obudziło się dziecko i zaczęło bardzo płakać.

Słysząc to sąsiadka, chciała wejść do mieszkania, aby malca utulić, ale drzwi były zamknięte. Zaglądnęła oknem i zobaczyła, jak kot skoczył z łóżka na izbę, wziął kość w pyszczek i przyniósł dziecku, myśląc zapewne, że je tym sposobem zabawi. Dziecko na kość nie zważało, ale krzyczało. Wtedy kot wpadł na inny pomysł uciszenia dziecka. Skakał z jednej strony kołyski na drugą i tym sposobem ją rozkołysał.

Tak kołysane dziecko usnęło, a kot położył mu się w nogach i także sobie drzemał.

c) Pewien przyrodnik umieścił kota pod szklanym dzwonem pompy wywiewnej, chcąc okazać zgromadzonym, że zwierzę bez powietrza żyć nie może.

Gdy uczony po kilku poruszeniach tłoka wyciągnął z pod dzwonu pewną ilość powietrza, kotu zaczynało być nie dobrze w roz rzedzonym powietrzu. Wtedy spostrzegł, skąd mu niebezpiec zeństwo zagraża, więc położył łapkę na otwór, aby powietrze nie upływało.

Daremne były wszelkie dalsze usiłowania przyrodnika, bo noga zwierzęcia nie dozwalała wykonać doświadczenia. Bezskutecznie także wpuszczał pod dzwon powietrze, by tym sposobem usunąć stopę kota, który za przypływem powietrza usuwał wprawdzie nogę, ale za pierwszem poruszeniem tłoka natychmiast otwór na nowo zatykał.

Widząc to zgromadzeni zaczęli klaskać, a przyrodnik musiał kota wypuścić i użyć do tego doświadczenia innego, który już tyle rozumu nie okazał.

d) W pewnym zakładzie wychowawczym zwoływano dzwonem na obiad wychowanków. Skoro dzwonek zadźwięczał, przybieg ała zaraz kotka do jadalni, gdzie także jeść dostawała.

Raz zamknięto ją przypadkiem w pokoju. Gdy zadzwoniono, kotka nie mogła wyjść ze swego więzienia. W kilka godzin później przyszła do tego pokoju służąca, a kotka korzystając ze sposobności wybiegła otwartymi drzwiami. Głodna pobiegła do jadalni, bo drzwi były otwarte, ale nie zastała tam nikogo. Wtedy postanowiła sobie zwołać wychowanków na obiad.

Naraz usłyszano dzwonek obiadowy. Nie wiedziano, coby to znaczyć mogło. Gdy przełożony zakładu przyszedł do sali

zobaczył kotkę, jak pazurkami przyczepiła się do rączki od dzwonka i pociągając na dół dzwoniła.

e) W Paryżu, w jednym klasztorze, przygotował kucharz obiad i zdziwił się, że jednej porcyi brakowało. Na drugi dzień powtórzyło się to samo, więc rozmyślał nad tem, kto mu porcye porywa. Postanowił odtąd śledzić, aby wykryć złodzieja.

Trzeciego dnia zliczywszy dokładnie wszystkie porcye, usłyszał dzwonienie u furty. Ponieważ był także odźwiernym więc pobiegł, aby popatrzeć, kto przyszedł. Nie zobaczył tam dzwoniącego, a wróciwszy do kuchni, spostrzegł ubytek jednej porcyi.

Czwartego dnia przygotował jedzenie wcześniej i policzone porcye rozstawił. Gdy do jedzenia zadzwoniono, ukrył się tak, że mógł spoglądać na porcyę, aby wypatrzeć, kto jest złodziejem.

Za chwilę zadzwoniono u furty. Kucharz tam nie poszedł lecz pozostał w swej kryjówce. Wtedy spostrzegł, jak kocur oknem wskoczył, porwał kawałek mięsa i uciekł na podwórze.

Tym sposobem odkrył złodzieja, ale nie wiedział, kto to dzwoni u futry. Następnego dnia zaczaił się przy furtce i oczekiwał dzwoniącego. Przyszedł! Nie był to nikt inny, tylko kocur który przyskakiwał i pociągał rączkę od dzwonka.

f) Dzieci pewnego państwa lubiły bawić się z młodą kotką, która swym towarzyszom zabawy okazywała wiele przychylności. Jednego dnia młodsze dziecko wbiło sobie drzazgę w nogę, dlatego bardzo płakało. Starsze dziecko wyciągnęło mu drzazgę i starało się małego krzykacza uspokoić, ale napróżno. Gdy krzyk nie ustawał, wyszła kotka z pod pieca, gdzie spała, a wypoliczkowawszy krzykacza, wróciła na swe legowisko.

Ponieważ ta kotka nigdy dzieci nie udrapnęła, a teraz oburzona dała policzek malcowi, wnioskujemy: kotka wiedziała, że dziecko już niepotrzebnie krzyczy i jej sen przerywa, dlatego postanowiła ukarać je policzkiem.

g) Pewna angielka miała kanarka i kotkę cypryjską. Obydwa stworzenia były nadzwyczaj piękne, oswojone i tak spoufalone ze sobą, że ptak często siadywał na grzbiecie kota. Jednego poranku siedziała ta pani przy śniadaniu, a na stole naprzeciw niej kanarek i kotka. Gdy drzwi otworzono, rzuciła się kotka na ptaka, schwyciła go za skrzydło i wyskoczyła na gzyms kominkowy. Przestraszona pani pobiegła za nią, ale w tej

chwili wszystko się wyjaśniło. Kotka przymilając się rozgniewanej pani, marmocąc włożyła do jej ręki ptaszka. Potem skoczyła pod sofę i rzuciła się zajadle na obcego kota, którego zaraz wypędzono.

Ptaszkowi nic się nie stało, a wierną i roztropną Micusię nagrodzono talerzem słodkiego mleka.

h) Pewien wieśniak opowiada, że do jego zagrody ktoś podrzucił kota, który się do miejsca przyzwyczaił, a szczególnie z kurami przebywać lubił. Jednego poranku usłyszał wieśniak krzyk bojaźliwy i gdakanie kury, więc myślał, że ją napadło jakie zwierzę drapieżne. Pobiegł do okna i ze zdziwieniem zobaczył, jak kot gonił cudzą kurę, która się zabłąkała na podwórze.

Groźny głos wieśniaka powstrzymał drapieżcę na chwilę, ale zaraz kot zaczął ją znowu gonić. I niezawodnie byłby ją uchwycił, ale mu przeszkodziła dziewka, która na ratunek przybiegła.

Ponieważ ten kot żył w przyjaźni z kurami, więc rozum mu wskazywał, aby nie dozwolił obcej kurze zjadać pokarm jego przyjaciółkom, dlatego ją gonił i zagryźć postanowił.

i) Sławny przyrodnik niemiecki Brehm opowiada podobne zdarzenie, jakie się u mnie przytrafiło, co wyżej opisałem. Tak mówi: „Nasza kotka miała w maju 1859 r. cztery młode, które starannie na szopie ukryła. Znaleziono je dopiero po dziesięciu lub dwunastu dniach. Skoro się to stało, kocica nie starała się dłużej ukrywać swych dzieci.

Tak upłynęło może trzy do czterech tygodni. Nagle zjawia się kocica przed moją matką, łasi się i prosi, woła i biega ku drzwiom, jak gdyby chciała drogę wskazać.

Rodzice moi idą za nią. Kotka biegnie przez podwórze, znika na szopie, ukazuje sie potem na schodach z kocięciem, które rzuca na wiązkę siana leżącą na dole. Potem skacze za nim i przynosi kocię do nóg mojej matki.

Podniesiono je z ziemi i pieszczono. Kotka tymczasem biegnie znowu na szopę, zrzuca drugie młode w ten sam sposób, odnosi je jednak tylko kilka kroków krzycząc, jakby żądała aby je wzięto. Tak się też stało, a teraz zrzuca dwa ostatnie kocięta, ale je zostawiła na wiązce siana i eni odniosła dalej Uczyniła to dopiero wtedy, gdy zobaczyła, że ich nich nie zabiera.

Pokazalo się atoli, że kotka już nie miała mleka, dlatego wymyśliła ten sposób zabezpieczenia swych dzieci od głodu, a może i od śmierci.“

k) W pewnym domu dwaj lokatorzy mieli po kotku. Jeden siedział w pokoju, a drugi lubił chodzić i odwiedzał swego towarzysza i zjadał mu jego pokarmy. Taka niegrzeczność rozgniewała pierwszego. Więc jak tylko dostał jedzenie, wypróżnia szybko talerz. Najlepsze kąski chował pod stół i strzegł ich, zostawiając jednak zawsze trochę na talerzu dla głodnego towarzysza.

Gdy nasycony kocina odszedł, poznosił znowu wszystko na talerz nasz kotek przebiegły, co był ukrył i zjadł w spokoju. Czasem przykrył talerz papierem lub suknem z podłogi. Z młodym psem i królikiem żył w przyjaźni.

l) Przyrodnik Lenz opowiada, że pewien kot był przyzwyczajony nie brać nigdy nic ze stołu. Raz przybył młody pies do domu, który lubił porwać co ze stołu, wskakując na stołki i stoły. Miał on podobną wadę, jak wiele dzieci, mianowicie owe pieszczochy, które muszą najpierw dostać, co się zjawi najlepszego na stole, ale częstokroć same najlepszy kąsek wywłóczą z półmiska. Podobnemu zachowaniu się onego psa przypatrywał się kot czas jakiś z wielkiem niezadowoleniem. Wreszcie usiadł sobie blisko stołu, a gdy pies skoczył na stół, wtedy kot wpadł za nim i wyciął mu tęgi policzek.

ł) Innego kota przyzwyczajono do tego, że dał spokój ptakom, których klatki stały w oknie. Ale jedno z kociąt miało wielką ochotę na ptaszki. Raz wskoczyło na okno i chciało porwać ptaszka, ale je odpędzono i ukarano. Matka to widziała. Gdy się to kilka razy powtórzyło a kocię nie poprawiło się wcale, odtąd stara nie spuszczała go z oka. Ile razy kocię zabierało się do okna, matka wskakiwała na stołek i łapką nieposłuszne dziecko należycie obiła.

Kocię upatrzyło sobie tedy inną drogę. Wylazło na pulpit stojący blisko okna i stamtąd wybrało się wprost na ptaki. Stara spostrzegła to jednak zawczasu. Jednym susem stanęła w oknie i tak wypoliczkowała nieposłuszne dziecko, że odtąd żadna wyprawa złodziejska nie przyszła mu na myśl.

Czyż ta kotka nie może służyć za przykład tym niegodziwym matkom, które swe dzieci uczą żebrać i kraść, zamiast pracować?

Koński przyjaciel.

Już z nazwiska zbliżony był do końskiej rodziny, nazywał się bowiem Konisko, a na imię Bartosz. Wyrósłszy w stajni koło koni, zżył się tak z nimi jak z braćmi i wolał żyć z końmi niż z ludźmi. Nazwano go też końskim przyjacielem. Za młodu nazywano Konikiem, a to dla odróżnienia go od ojca Koniska, który przez całe życie był stajennym, a umierając, zostawił synowi w spuściżnie nie tylko opróżnioną posadę, ale także wszystkie tajemnice końskiego świata.

Bartosz nie znał innej pościeli, prócz żłobu. Tu sypiając, nie rozłączał się nawet w nocy z przyjaciółmi swoimi, końmi. Ileż to razy wstawał w nocy, aby im rzucić kłopeć siana! Kaszlanie i kichanie konia budziło go, jak matkę budzi głos dziecka. Najczęściej po kichnięciu konia, kichał zaraz i Bartosz, a kichał tak silnie, że trudno było rozróżnić, kto kichnął: koń, czy Bartosz. Działo się też i tak, że gdy Bartosz kichnął, kichały zaraz wszystkie konie w stajni. Wiedzieli o tem ludzie we dworze i twierdzili, że Bartosz daje koniom tabaki. Prawda, że Bartosz Konisko tabakę zażywał i gdy mu jej kiedy zabrakło, to chodził, jak z krzyża zdjęty, lecz, żeby dawał tabaki koniom, niktby mu tego nie udowodnił. Była to tylko złość ludzka.

Bartosz urodził się najprawdopodobniej w pogodny dzień, bo całe życie chodził z twarzą śmiejącą się. Jeżeli czasami zaćmił się jasny horyzont jego fizyognomii, to dwie jedynie okoliczności zdolne były sprowadzić owo zaćmienie. Pierwszą okolicznością, sprowadzającą chmury na twarz Bartosza, było jakiekolwiek zło dotyczące jego przyjaciół — koni. W tym względzie był on tak wrażliwy, że już smutny wyraz oczu którego z jego „przyjaciół“, napawał go niepokojem i smutkiem — a cóż dopiero działo się biednemu Bartoszowi, gy który ulubieniec jego poszedł w obce ręce! — Drugą fatalną okolicznością był dla Bartosza własny nos jego. Nos ten, przyzwyczajony do ustawicznego wciągania tabaki, nie dawał mu chwili spokoju; a już najbardziej dokuczał mu wówczas, gdy tabaka „wyszła“, a w kieszeni nie było dutka. Wtenczas chodził Bartosz ciężko zamyślony, a śmiejąca się jego fizyognomia przybierała minę niezadowolenia i srogiego zwątpienia. Jedyną wówczas ulgą dla biedaka była filozoficzna uwaga:

— Przez tabaki markotno:

Prócz tej, lub podobnej lakonicznej uwagi, trudno było usłyszeć głos Bartosza w takim dniu feralnym. Zresztą w ogóle był małomowny. Przywykłszy do koni, ludzi nie bardzo lubił, a przedewszystkiem unikał towarzystwa kobiet, które go jak to sam mawiał — za język ciągną, a oczyma za godzinę pokażą tyle, ile koń zaledwie na rok. Próbuj zapytać kogo z ludzi we dworze, dlaczego Bartosz się nie ożenił, to ci zaraz powie:

— Bez małomowność i bez koński pot.

Mimo tych wad był Bartosz człowiekiem znośnym dla ludzi, a bardzo dobrym dla koni. Z początku tylko, gdy pan kupił jaką świeżą parę i gdy jeszcze konie z Bartoszem się nie zaznajomiły, okazywał im czasem swoją niełaskę batem. W krótkim atoli czasie odkrywał dobre przymioty przybyszów i przyjmował ich chętnie do grona swych przyjaciół, zaś szlachetne zwierzęta odwzajemniały mu się już to rżeniem na jego widok, jużto parskaniem lub powodzeniem oczyma za nim, niby przyjaznym śledzeniem jego ruchów i czynności. Do owej mowy oczyma Bartosz tak przywykł i tak ją rozumiał, że nawet złe lub dobre przeczucia końskie odgadywał w ich wzroku i sam zaraz takowe podzielał. Zdarzało się też często, że owe złe przeczucia sprawdzały się, i nieraz ów szczególnie tęskno patrzący koń przeznaczony był do sprzedania. W takim razie jednak Bartosz nie spoczął, dopóki swego przyjaciela nie uratował. Zwykle małomowny wpadał w taki zapał oratorski, iż pana przekonywał i koń pozostał w stajni. A jak cieszył się wówczas! Całował poczciwiec konia, a przemawiając do niego pieszczotliwymi wyrazy, a gdy w odpowiedzi koń spojrzał rozumnie na Bartosza swojemi wielkiemi oczyma, to końska przyjaciel mawiał:

— A jagze, zostanies przyjocielu, zostanies; wyprosiłem cię u pana.

Pan też umiał cenić wartość służby Bartosza i sam nigdy koni nie kupował, Bartosz przy kupnie był zawsze. I gdy pan okiem znawcy badał konia z fizycznego punktu widzenia, Bartosz sięgał wzrokiem głębiej i dziwnym jakimś instynktem zgadywał przymioty i wady końskie ze strony moralnej. Mówił też, że pozna uczciwego lub złego konia po oczach „kiejby człowieka“.

Pan śmiał się oczywiście z tych fizyologicznych wiadomości swego stajennego, raz jeszcze przekonał się o prawdopodobieństwie Bartoszowych spostrzeżeń.

Oto kupił był konia jakiejś mięszanej rasy, który, jakkolwiek panu bardzo się podobał, nie spodobał się wszakże słudze. Bartosz wróżył, że będzie z nim bieda: bo i „oczy ma za długie i źle mu z nich patrzy“. Jakoś zaraz nazajutrz zrzucił Bartosza, gdy chciał na nim jechać wierzchem. Głupstwo, że się trochę potłukł, ale jaki wstyd! Było pełno ludzi na podwórzu i jakiś żyd, kupiec, który nie omieszkał zaraz zapytać:

— A na co wy kupili takiego konia?

— Alem jarmurki nie zgubił! — odciął rozgniewany Bartosz. — Patrzcie go, niewiarę; on chcioł, zebym w powietrzu wisioł!

Niezadługo po tym wypadku kazał pan założyć do faetonu parę koni, do której należał ów nowo kupiony „niedobry duch“, jak go Bartosz ochrzcił.

Bartosz ciężko westchnął, zażył tabakę na odwagę, oglądnął się na pana, cmoknął na „dzieci“ i ruszył.

Wyjechawszy za wieś, spotkali procesyę, która wracała z pola, a był to dzień święcenia plonów. „Niedobry duch“, spostrzegszy niezwykły ruch i krzyk śpiewających, jakoteż różnokolorowe chorągwie, nasrożył uszy, naprężył nogi i począł rwać się naprzód.

Bartosz i tak już uprzedzony, nie wątpił ani na chwilę, że katastrofa się zbliża. Zebrał całą przytomność umysłu, okręcił lejce silnie około rąk, poprawił się na koźle i tak w pozycyi zaczepno odpornej wyczekiwał ataku ze strony złego ducha. Jakoż w tej chwili skoczył „duch“ jak szatan i wywrócił faeton; pan wypadł na nasyp rowu, a Bartosz koniom pod nogi. A że miał ręce okręcone lejcami więc niosły go tak konie już obydwa szalone, bijąc kopytami po głowie. Skończyło się nareszcie, gdy „duch“, palnąwsy łbem o drzewo przydrożne, zabił się na miejscu. Bartosz żył jeszcze, ale w głowie miał ranę, a twarz i ręce poszarpane srodze.

Po jakimś czasie Bartosz wyzdrowiał dzięki szczególnej opiece pana, który wyrzucał sobie, że mimo przestrogi sługi „złego ducha“ kupił. Wszelako nie ma nic złego, coby na dobre nie wyszło, i Bartosz od tego czasu miał w stajni „dzieci“ tylko

z poczciwemi oczyma, a pan nauczył się szanować fizyologiczne uwagi starego sługi. A chociaż na pozór żartował nieraz z Bartosza przy kupnie koni, to jednak z pod oka śledził jego wyraz twarzy, a jej zadowolnienie lub niezadowolnienie rozstrzygało stanowczo o kupnie koni.

Tę epokę życia końskiego przyjaciela można nazwać najszczęśliwszą. Pan pozostawił mu wszelką swobodę działania, A Bartosz, korzystając z zupełnego zaufania pana, rządził stadniną, jak udzielny książę księstwem. Parował konie według upodobania, przeznaczał do zaprzęgu i pod wierzch, a pan nie sprzeciwiał się nigdy. Doszło wreszcie do tego, że na żądanie a względnie prośby i przedstawienia Bartosza gotów był dać łaskawy chleb emerytom, niezdolnym do dalszej służby.

Lecz niestety! co dobre, prędko przemija; tak się też stało i z dobrym starym panem, który pewnego smutnego dnia umarł nagle, zostawiwszy dziedzictwo jedynemu synowi. Bartosz przewidywał zapewne, że teraz jego rządy również się skończyły, bo wracając z pogrzebu „dobrego paniska", bezustannie ocierał oczy rękawem, wzdychał ciężko, a na młodego pana spozierał bardzo niedowierzająco.

Rezultatem tych obserwacyi Bartoszowych była półgłosem wypowiedziana uwaga.:

— Ta on na nieboscyka podobny, z ocu mu nie źle patsy... jene, jakto nieboscyk mawiał, ciągle chce coś nowego taj nowego.

Jakoż istotnie, młody dziedzic pragnął nowości, jak zepsute dziecko, które co raz to nowej pragnie zabawki. Pragnął nowości, jako pełen życia i fantazyi młodzieniec, który czuł w sobie siłę, energię i zdolność do zburzenia wszystkiego, co mu w drodze stanie; pragnął czynu, czynu za jakąbądź cenę! Nie mając zaś pola do popisu, a względnie nie umiejąc stworzyć sobie idei godnej jego zapału, z nudów prawie rzucił się do burzenia z gruntu ojcowizny.

Nastąpiła tedy epoka odrodzenia. Stare meble i sprzęty zastąpiono nowymi; skromny dworek ustąpił miejsca pałacowi; stare lipy, rosnące sporadycznie, wycięto dla zrobienia alei; wreszcie przyszła kolej na konie. Tu jednak natrafił młody pan na upór, którego się spodziewał a zarazem bagatelizował. Przywoławszy więc Bartosza, rzekł krótko:

— Oczyścisz porządnie gniadosze, jutro pójdą na sprzedaż.

Gdyby w tej chwili padł grom z jasnego nieba, nie przeraziłby bardziej biednego Bartosza. Nie zmartwiłby się tak również, gdyby nagle zabrakło tabaki na całej kuli ziemskiej. Stanął jak wryty, przerażone oczy wlepił w „panicza“, a uchem łowił ostatnie dźwięki bolesnej dyspozycyi. Doznawał takiego właśnie uczucia, jakiego doznaje czuła matka, tracąc ukochane dziecię. On bowiem własną ręką gniadosze wykarmił, wychował, wypieścił. wyuczył. Nimi woził on bywało najczęściej starego pana, a nawet jeszcze — świeć Panie nad jego duszą! — anielską nieboszczkę. A jakto one bywało wiedziały, kiedy panią wiozły! Szły, jak gdyby woda płynęła. One to wraz z Bartoszem odwiozły ukochaną panię do bramy cmentarnej i tę samę usługę oddały dobremu panu, spełniając ostatnią jego wolę. Te wszystkie koleje wraz z gniadoszami przebywał i Bartosz, więc trącąc gniadosze, tracił niejako część życia. Stary sługa bowiem, jak wszyscy starzy ludzie, żył przeszłością, a ta ściśle łączyła się z przeszłością gniadoszów. Jeżeli człowiek przywiązuje się często do rzeczy martwej, to cóż dziwnego, że Bartosz przywiązał się do istot rozumnych, prawie myślących.

Ochłonąwszy więc z pierwszego wrażenia, postanowił ocalić gniadosze i, jak zwykle w takich wypadkach, użył małomowny Bartosz swej wymowy.

Zbliżył się do młodego pana w postaci pokornej, w pół zgiętej, ale z oczyma wzniesionemi błagalnie i zapytał:

— Dlaczego wielmozny pan te biedne śkapiny sprzedaje?

— Dlatego właśnie, że „szkapiny“, jeżeli chcesz wiedzieć.

Bartosz zaczął błagać:

— Niechże wielmożny pan się zmiłuje nad biednemi zwierzętami! Jak do powozu nie pasują, to do roboty akurat dobre, więcej zrobią niżeli młode, bo znają różną biedę. Ot, prosę wielmoznego pana: gdzie się minęło mięso, niech się miną i kości a mnie nie bedzie zal. Nieboscyk pon bardzo lubił gniadose i mówił bywało, ze bedzie trzymoł je do śmierci. No i przed swoją śmiercią zawołał mnie nieboscyk pon i nakazał: „Pamiętaj Bartos, jak umrę, to niech mnie gniadose zawiozą na cmentarz“!

Te słowa, wymówione ze wzruszeniem przez starego sługę, wzruszyły również młodego pana. Chcąc tedy uczucie opanować, rzekł opryskliwie:

— Ej, co mi tam o żalu pleciesz! Dla twego głupiego żalu, ja mam stare szkapy trzymać, aby darmo żarły! Trzeba być praktycznym. Zresztą — dodał po chwili — nie twoją rzeczą rozumować, rób raczej, co ci się każe.

Wówczas Bartosz wymówił z rozpaczą:

— Niema moich gniadośów, to i mnie niema. No dziękuję wielmoznemu panu za słuzbę. Pójdę ja tez sukać miejsca na stare kościska. Coby się wielmozny pon za mnie nie turbowali jak za te śkapy.

Młody pan podrażniony tym niespodzianym a niemiłym obrotem sprawy, rzekł popędliwie:

— Dobrze! dziś jeszcze odejdziesz. Nie lubię dziwaków.

Żal mu było wprawdzie tego starego poczciwca, ale chciał być konsekwentnym, a z drugiej znów strony był kontent, że już nie będzie potrzebował krępować się uciązliwymi względami dla starego sługi.

Młody pan chciał być zupełnie swobodnym w działaniu, a tu zdawało mu się, że oczy starego Bartosza, które tak długo patrzyły na dzieła jego ojca, krytykują niemo gorączkową gospodarkę syna. To paraliżowało jego plany, a tem samem sprowadzało dysharmonię w stosunku jego do starego sługi. Gdyby wszakże był znał lepiej Bartosza, wiedziałby, że starego stajennego obchodziły tylko konie, cały świat zresztą był mu obcy i obojętny.

Podziękowawszy za służbę, poszedł biedny ten człowiek do stajni, aby spakować swoje „biedactwo“, pożegnać się z końmi, najlepszymi przyjaciółmi i szukać na starość nowej służby u dobrych ludzi. Lecz gdy do stajni przyszedł i popatrzył może po raz ostatni na swoje „dzieci“, na ten kącik, który od tylu lat był dla niego najlepszem mieszkaniem — tak ciężki smutek opanował jego duszę, iż prawie go ubezwładnił.

Biedny Bartosz zataczał się jak człowiek pijany lub chory, nie wiedział, czy zmoże zebrać swoje rzeczy, oddać stajnię w porządku i czy wywlecze się za bramę dworu. Łkając, dorzucał „dzieciom“ siana i wśród łez przemawiał:

Jesce dzisiok żryjcie z mojej ręki... na pozegnanie...

A gdy „dzieci“ zwróciły ku niemu swe wymowne, rozumne oczy, to biedny Bartosz odwracał się i uciekał w przeciwny kąt stajni, zanosząc się od płaczu. Zdawało mu się, że w tym wzroku widział tyle żalu, tyle smutku....

Takiemi myślami zajęty, zaczął powoli ściągać swe „biedactwo“ i nie zważał wcale na kilkakrotne wołanie pokojowca, by szedł do pana po swoją zasługę. Ta ostatnia zresztą była mu na razie nadto obojętną, by o niej pomyślał. To też pan, zniecierpliwiony długiem czekaniem, a chcąc też niejako w dobry sposób rozstać się ze starym sługą, zabrał pieniądze dla niego odliczone i skierował się ku stajni, by je Bartoszowi wręczyć.

Zbliżywszy się do stajni, posłyszał dziwne jakieś końskie chrapanie i parskanie zmięszane z ludzkim płaczem, podobnym do wycia. Zaciekawiony niezmiernie, podszedł do otwartego okna w stajni i zobaczył scenę, która go poruszyła do głębi.

Stary Bartnsz obejmywał łby gdniadoszów, całował je i głośno płacząc, mówił:

— Bądźcie zdrowi przyjaciele! Pójdziecie wy w niewolę, to pójdę i ja. Myślałem, ze będziem razem do śmierci, ale niema już starego pona, a młody nie ma serca ani la was, ani la mnie. Tera pójdziecie do zydów na męki... Oj, jakze mi na sercu ciężko! Taj ja was tak pielęgnował od maleńkości! Taj ja was tak wyucył!

Młody pan odwrócił głowę.... a dwie łzy ciężkie zawisły na rzęsach i potoczyły się po pięknej jego twarzy. Tymczasem zbliżył się do drzwi stajennych, z których właśnie wybiegł Bartosz z tłumokiem.

Biedny człowiek otarł też rękawem resztki łez, które chciał ukryć przed nieludzkim i bez serca paniczem.

Lecz pan zatrzymał go i rzekł głosem pełnym wzruszenia:

— Ja ciebie nie puszczę mój Bartoszu, ani gniadoszów nie sprzedam. Zostaniecie u mnie do śmierci.

Błyszczące w oczach starca łzy smutku, spłynęły po sumiastym jego wąsie jako łzy radości, a pierwszem słowem wdzięczności był wykrzyk Bartosza:

— O, ja zawdy gadoł, co na nieboscyka podobny i co mu z ocu nieźle patsy.

Grzegorz Klimkowski.

Z drukarni Ludowej we Lwowie pod zarządem Stan. Baylego.